

Stanisław Mikke

Paralaksa

Palestra 43/11(503), 35-36

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

Paralaksa

Pewien felietonista sportowy „Gazety Wyborczej” ubolewał niedawno na tamtejszych łamach, że „bez głośniejszego echa minęła dramatyczna decyzja Stanisława Tyma, który postanowił, że tymczasem (?) (znak zapytania – S.M.), nie będzie pisał felietonów. Wbrew pozorom – stwierdza ze swej wysokości dziennikarz sportowy – nie jest to wcale gest groteskowy i humorystyczny (...), ale świadectwo bezsilności i sprzeciwu”. Ów pan życzył Tymowi „rychłego powrotu na łamy”. Ponieważ „dramatyczna decyzja” ma podłoże w niemocy zajmowania się przez Stanisława Tyma czymś takim *bezkarnie obrzydliwym*, jako będącym *nierzetelnością u podstaw*, a mowa o przedstawicielach obecnej władzy, można się domyślać, czego, w rzeczy samej, życzy jemu, sobie i innym człowiek z „Gazety”.

Są jednak i tacy, którzy dowiedziawszy się o porzuceniu pisania felietonów przez popularnego i lubianego autora bardzo róż-

nych tekstów, przypominają o tych, którzy już wcześniej obrazili się na otaczającą rzeczywistość i co z tego zazwyczaj wynikało. Dla nich samych zwłaszcza. Można przecież poróżnić się z jakimś tytułem lub jego redaktorem, co zawsze się może zdarzyć. Jednak demonstracja (przy całym szacunku dla tej pozycji) felietonisty, nawet znanego z innej działalności, zawieszającego pióro na kołku – choćby ustawiał się on jako recenzent władzy i sądził, że przyszło mu mieć do czynienia z jej najgorszym wydaniem – otóż taka demonstracja wywołać może co najwyżej wzruszenie ramion. No, może jeszcze w tym wypadku troskliwe pytania o stan poczucia humoru.

Tymczasem, ano właśnie, tymczasem wypada pamiętać o czasie przeszłym i tych godnych, którym – jeśli już pozwalano im pisać – towarzyszyła świadomość funkcjonowania w sytuacji skrajnie beznadziejnej i poczuciu bezsilności wobec zarówno roz-

miarów i trwałości bezprawia, jak i ogromu absurdu. Ducha mimo to jakoś nie tracili.

O tym, co było w tamtych, także najgorszych czasach, wiemy niemało. Ale każde przypomnienie lub ukonkretnienie wydarzeń, o których prawda była dławiona przez ostatnie półwiecze, wywołuje silne emocje.

Takim właśnie przywołaniem faktów z najnowszej historii był film pokazany 21 września przez publiczną telewizję w cyklu „Czas na dokument”. Obraz pt. „Po całym ciele” w reżyserii Grzegorza Królikiewicza utrzymany w osobliwej stylistyce, dla niego charakterystycznej, to zapis fragmentów rozprawy sądowej przeciwko byłym funkcjonariuszom Urzędu Bezpieczeństwa oskarżonym o bestialskie traktowanie więźniów politycznych – bohaterów walczących z hitlerowskim okupantem.

Złośliwy powiedziałby, iż na plus reżysera poczytać należy, że pozostał przynajmniej wierny owej stylistyce, którą popisywał się bodaj najmocniej w filmowej adaptacji „Zbrodni i kary” zrealizowanej przed wielu laty.

W filmie „Po całym ciele” powiększanie do nienaturalnych wręcz monstrualnych wymiarów twarzy i ich fragmentów dotyczyło sędziów, pokrzywdzonych i oskarżonych i wraz z filmowaniem ich postaci pod różnymi kątami dawało efekty dość niezwykłe. Nie w tym jednak rzecz. Co innego budzi poważniejsze wątpliwości – czy uczynienie z nota bene obskurnej sali (jeśli dobrze zauważyłem, to w łódzkim sądzie), filmowego laboratorium, nie zakłóciło powagi sali sądowej? Kręcący się ludzie, pod ścianami filmowy sprzęt. Zachowanie uczestniczących w procesie w wielu wypadkach jawnie nienaturalne. Nie mówiąc już o ujęciach pani przewodniczącej składu

sądzącego, pochylonej podczas przerwy w rozprawie nad stołem, w której to scenie uwaga reżysera, zdaje się, skupiała się przede wszystkim na wypiętej części jej ciała. Taki naturalizm w sądowym, filmowym reportażu nawet z ambicjami artystycznymi, niezależnie od wszystkiego po prostu raził.

Ale to tylko jeden aspekt tej filmowej relacji. Nie ma powodów powątpiewać w dobre intencje reżysera. Myślę nawet, że chodziło mu o ukazanie w nagiej prawdzie przebiegu procesu o tego rodzaju przestępstwa. I w tej płaszczyźnie, bo nie oceniam tutaj artystycznych wartości zapisu, zamierzenie powiodło się niezgorzej. Zeznania pokrzywdzonych, mimo przesto efektów specjalnych były przejmujące. Jednocześnie otrzymaliśmy obraz na pewno nie zaskakujący osób mających do czynienia z sądową rzeczywistością, ale jak przypuszczam, porażający tych, którzy sali sądowej nie znają, a jeśli już to z postępowania o stwierdzenie nabycia spadku lub wyłącznie z incydentalnych jakichś powodów. Zachowanie prowadzącej rozprawę (wiek wskazywał, że nie był to ktoś początkujący w zawodzie), było zaprzeczeniem postępowania zgodnego z dość podstawowymi zasadami. Uwagi, wtrącenia i pouczenia niejednokrotnie były co najmniej nie na miejscu, żeby nie używać innych określeń. Wspomniane wcześniej chwytły reżysersko-operatorskie tylko spotęgowały wrażenie, że oto oglądamy wymiar sprawiedliwości w krzywym zwierciadle. Sądzę nawet, że wbrew zamierzeniom autorów powstał miejscami konterfekt niemal prześmiewczy. Czy był to obraz obciążony błędem paralaksy – błędem wynikającym z ustawienia oka pod niewłaściwym kątem?